


prekazała
Kiermaszowice
Janie Makowskiej

Współpraco-
wała
2 AK -
1 niezapamięta-
na
W-wa

KOROLKIEWICZ Marie

SPIS ZAWARTOŚCI TECZKI — KOROLKIEWICZ Maria

2584/Wbk.

I. Materiały dokumentacyjne

I/1 – relacja właściwa

I/2 – dokumenty (sensu stricto) dot. osoby relatora —

I/3 – inne materiały dokumentacyjne dot. osoby relatora —

II. Materiały uzupełniające relację —

III. Inne materiały (zebrane przez „relatora”):

III/1 – dot. rodziny relatora —

III/2 – dot. ogólnie okresu sprzed 1939 r. —

III/3 – dot. ogólnie okresu okupacji (1939 –1945) —

III/4 – dot. ogólnie okresu po 1945 r. —

III/5 – inne... —

IV. Korespondencja —

V. Wypisy ze źródeł [tzw.: „nazwiskowe karty informacyjne”] —

VI. Fotografie —

I II Relacja wstawiwa

- Wspomnienia H. Korolkiewicza „Przyczynek do historii lat okupacyjnych w Warszawie”, kopia, s. 2., k. 26 o. 1-26



I/1/1 15.

PRZYCZYNEK DO HISTORII LAT OKUPACYJNYCH W WARSZAWIE

Wspomnienia Marii Korolkiewicz, zatrudnionej
w czasie okupacji w referacie "Süsswaren" Wy-
działu Wyżywienia i Rolnictwa Dystryktu War-
szawskiego.

W listopadzie 1939 zwrócił się do mnie mój znajomy, p. Stanisław Kijewski, ówczesny kierownik Wydziału Personalnego Izby Przemysłowo-Handlowej w Warszawie, w następującej sprawie. Na terenie Izby, która przeszła właśnie pod zarząd niemiecki, zostało utworzone biuro pod nazwą "Der Beauftragte für Kaffee, Tee und Kakao". Miało ono za-
wadywać wszystkimi skonfiskowanymi w Warszawie zapasami kawy, her-
baty i kakao. (W oficjalnej niemieckiej nomenklaturze zapasy te zos-
tały "sichergestellt" - zabezpieczone - i pozostawały w magazynach
firm). Biuro poszukiwało pracownicy z dobrym niemieckim i zwróciło
się o pomoc do p. Kijewskiego, który, wiedząc że odpowiadam stawianym
wymaganiom, zaproponował mi objęcie tej posady. Poinformował mnie on
że w Warszawie wpadły w ręce niemieckie ogromne ilości powyższych
artykułów i chodzi o to, żeby jak najwięcej trafiło ich z powrotem
w ręce polskie, trzeba więc mieć w nowo powstałym biurze zaufanego
człowieka, który podjąłby się tego rodzaju roboty. Zgłosiłam się,
zostałam przyjęta i w ten sposób rozpoczęła się moja trwająca do dnia
powstania praca "u Niemców".

Moim szefem był niejaki Paul Kraas, reichsdeutsch, mówiący świet-
nie po polsku, który przed wojną przez wiele lat pracował w Warszawie
jako prokurent znanego domu handlowego Alfred Jurzykowski. Był to
przede wszystkim człowiek interesu, traktujący swoje stanowisko jako
znakomitą okazję do zrobienia majątku. Sprawami politycznymi raczej
się nie interesował. Chętnie podpisywał podsuwane mu dyspozycje na
niewielkie przydziały dla polskich instytucji, takich jak szpitale
czy domy opieki, i nie kontrolował kartotek, w których, wraz z kole-
gą Polakiem, gorliwie spisywaliśmy zgłaszane nam przez poszczególne

firmy "usasz" (manka spowodowane wysycnaniem kawy i herbaty).

Wszystko to było jednak bez większego znaczenia i już zaczęłam tracić nadzieję, że się w ogóle na coś przydam, gdy nagle sprawy przybrały nieoczekiwany obrót. Na początku 1940 r. poszerzono znacznie zakres działalności naszego biura, podporządkowując mu sześć koncepcjonowanych na terenie dystryktu warszawskiego fabryk słodowych (Wedel, Fuchs, Domański, Wiśniowski, "Lawina" i Ciecierzynski).

Krótko potem zaarrestowano mojego szefa za jakieś nadużycia. Zostałam sama, gdyż mojego kolegę tymczasem zwolniono. Któregoś dnia przyszło do mnie dwóch umundurowanych wyższych urzędnik^{ów} dystryktu i oznajmiło mi, że biuro zostaje przeniesione do Pałacu Brühla, gdzie mieścił się urząd gubernatora Fischera.

Przekroczenie tych nienawistnych progów w charakterze pracownika było dla mnie ciężkim osobistym przeżyciem.

Kraas niedługo przebywał w więzieniu. Wrócił na poprzednio zajmowane stanowisko butny i pewny siebie. Zaangażował nową pracownicę pannę Zak, poznaniankę, przy czym każdej z nas powiedział o tej drugiej, że jest volksdeutschką. Patrzyliśmy na siebie początkowo nieufnie i upłynęło dość dużo czasu, zanim się "dogadałyśmy".

Wśród licznych pracujących w dystrykcie Polaków wyróżniał się woźny, Józef Musiał, także poznańczyk. Zawsze uśmiechnięty, życzliwy dla otoczenia i usłużny cieszył się powszechną sympatią. Do mnie odnosił się z jakimś szczególnym zaufaniem. Moja współpraca z nim, która trwała do dnia powstania, zaczęła się w dość dramatycznych okolicznościach. Do obowiązków Józefa, żołnierza ZWZ a potem AK, pseudonim "Biały", należało m.in. dostarczanie poczty z kancelarii ogólnej do gabinetu Fischera. Któregoś dnia zwierzchnik Józefa, Niemiec, którego uwagę zwróciło to, że zanoszona przez Musiała poczta dociera do gabinetu gubernatora z dużym opóźnieniem, wezwał go

do swego pokoju na zesadniczą, pełną pogróżek rozmowę. Zobaczyłam go chwilę potem bardzo zdenerwowanego. Był do tego stopnia zbulwersowany, że wyznał mi, iż całą przychodzącą codziennie pocztę, przed doręczeniem jej w sekretariacie Fischera, zanosi do jednej z piwnic Pałacu Brühla, gdzie sporządza się jej fotokopie. Pracę tę wykonywał miejscowy elektryk, Żyd, którego nazwiska niestety już nie pamiętam. Ustaliliśmy z Józefem, że w przyszłości będzie przynosił ^{pocztę/} najpierw do mnie i wspólnie dokonamy "na oko" selekcji listów, nie wszystkie bowiem zasługiwały na fotografowanie. Mabyta w ciągu paru miesięcy pracy rutyna pozwalała mi odróżnić na pierwszy rzut oka listy ważniejsze od mniej ważnych. Liczba fotografowanych listów spadła w ten sposób do 2-3 dziennie i związana z tym zwłoka nie wzbudzała podejrzeń. Z reguły fotografowało się listy pochodzące od rządu GG w Krakowie. Z chwilą utworzenia getta elektryk z Pałacu Brühla zniknął, lecz swoją działalność na tym odcinku "Biały" prowadził nadal.

Biuro Pełnomocnika do spraw Kawy, Herbaty i Kakao przeniesiono na referat "Süsswaren", działający w ramach Wydziału Wyżywienia i Rolnictwa (Abteilung Ernährung und Landwirtschaft). Współpraca z fabrykami słodocy stwarzała duże możliwości niesienia pomocy głodującej ludności Warszawy, dopóki jednak kierownikiem referatu był Kraas, nie można było wiele zdziałać. Na szczęście Kraasa zwolniono z pracy, a cały Wydział Wyżywienia i Rolnictwa przeniesiono w roku 1940 na ulicę Kopernika 30, a z czasem na Filtrową róg Suchej. Chodziło o to, żeby nie dopuścić do powierzenia kierownictwa referatu Niemcowi, tylko żebyśmy gospodarowały w nim same. Dwukrotnie usiłowano stanowisko to obsadzić, udało mi się jednak wykazać niekompetencję potencjalnych kandydatów i tak ich ośmieszyć wobec władz zwierzchnich, że zaniechano dalszych prób w tym kierunku.

Praca na ul. Kopernika i Filtrowej umożliwiła nam bliższy kontakt ze społeczeństwem, od którego nie oddzielały nas już groźne mu-

ry Pałacu Brühla.

Tarówno do naszego urzędu jak i do poszczególnych firm - hurtowni kawy i herbaty oraz w twórci słodyczy - zgłaszało się coraz więcej ludzi potrzebujących pomocy. Byli wśród nich przedstawiciele sztuki i nauki, rezerwistki z dziećmi, rodziny osób przebywających w niemieckich więzieniach i obozach karnych, ludzie, którzy wskutek sytuacji wojennej nie mogli zarobkować lub których zarobki były nieproporcjonalne do kosztów utrzymania. Takie hurtownie jak Pluton, Szumilin, Kopernik i inne zostały zakwalifikowane jako rejonowe hurtownie aprowizacyjne, co stworzyło im możliwość do różnorodnej działalności handlowej legalnej i, oczywiście, nielegalnej. Koncesjonowane fabryki słodyczy starały się w miarę możliwości zaspokajać potrzeby patentów utrzymujących się z handlu słodyczami, ale niewielkie wygospodarowane przez nie rezerwy okazywały się nie wystarczające. Prężna ludność Warszawy (dla której oficjalne przydziały żywności na kartki wynosiły ok. 600 kalorii dziennie) radziła sobie jak mogła, kwitła szmugiel, pokątny handel, a mimo to szeregi potrzebujących wciąż rosły. Trzeba było znaleźć jakiś pozornie legalny sposób zdobycia większych zapasów, którymi można byłoby swobodniej gospodarować.

Tak zwane "ususze" wyksięgowane z kartotek hurtowni kawowo-herbacianych osiągały niekiedy absurdalną wysokość i trzeba było uważać, żeby nie przeciągnąć struny. Kilkakrotnie fingowano kradzieże i odciążano konta firm tylko na podstawie "lewego" zaświadczenia granatowej policji, które udawało się jakoś firmom zdobyć.

Jeśli idzie o fabryki słodyczy, to trzeba było stworzyć im możliwość swobodniejszego dysponowania wyprodukowanym towarem. Udało mi się wyjednać u mojego ówczesnego zwierzchnika, nazwiskiem Meyer, zgodę na dostarczanie niewielkich ilości cukierków na prowincję do podwarszawskich sklepików. Nazwałam to "Belieferung der alten Provinzkundschaft". Była to oczywiście całkowita fikcja.

Przedstawiając swoje racje użyłam argumentów mających niewiele wspólnego ze zdrowym rozsądkiem, cel został jednak osiągnięty. Fabryki miały otrzymywać z tytułu dostaw dla "dawnej klienteli prowincjonalnej" zezwolenia na sprzedaż 2.500 kg miesięcznie. Kwity przydziałowe były sporządzane w 4 egzemplarzach. Po podpisaniu ich przez szefa, na dwóch pierwszych egzemplarzach, które szły do firm, dopisywałam "0", czyli że suma każdego przydziału zwiększała się dziesięciokrotnie, a więc np. Wedel zamiast 1.250 kg dostawał miesięcznie 12500 kg (12,5 t). W ten sposób na wolny rynek trafiało co miesiąc 25 ton cukierków, ilość jak na wojenne stosunki warszawskie niebagatelna. Umożliwiło to firmom znaczne rozszerzenie zakresu udzielanej pomocy, a ja też z większą śmiałością mogłam je prosić o pomoc dla swoich podopiecznych - osób prywatnych i instytucji.

Był to regularny, dość poważny sabotaż, ryzykowny przez swój prymitywizm, gdyż firmy otrzymywały zezwolenia na sprzedaż powiększonych dziesięciokrotnie ilości słodyczy, a w blokach, które pozostawały w naszym biurze figurowały liczby oryginalne. Przy każdej kontroli, które przeprowadzano co jakiś czas we wszystkich referatach, rzecz taka musiałaby wyjść na jaw. Trzeba więc było opracować precyzyjny system, który chroniłby tę całą, szytą tak grubymi niemi działalność.

Najpierw trzeba było uzyskać podpis szefa na kwicie przydziałowym (Zuweisungsschein). Była to czynność powtarzająca się co miesiąc, należało ją więc jak najbardziej zmechanizować, żeby podpisujący nie miał czasu zastanawiać się nad treścią podpisywanych papierków. Każdy kwit wypisywałam w 4 egzemplarzach przez kalkę. Rubrykę "ilość kg słownie" na razie opuszczałam i wypełniałam ją odpowiednio dopiero po uzyskaniu podpisu. Podpisywanie odbywało się błyskawicznie. Blok z wypisanymi przydziałami przynosiłam memu szefowi trzymając w ręku arkusik wypolerowanej blachy. Był to mój po-

I/1/8

mysk racjonalizatorski. Szybko przewracałam poSpinane czterokartkowe komplety, podkładając pod każdy komplet blachę, a mój szef podpisywał zadowolony, że to tak sprawnie idzie. Kiedy szef się zmienił i na miejsce dobrodusznego Meyera przyszedł bardzo niesympatyczny dr Kreker, przyniosłam mu do podpisu przygotowane w ten sam sposób bloki wyjaśniając, że wypisałam przydziały ściśle według rozdzielnika opracowanego przez p.Meyera, więc chyba nie ma żadnych zastrzeżeń. Zadowolili się tym wyjaśnieniem i od tej pory wszystko podpisywał zachwycony dobrą organizacją, nie wnikając w to, co podpisuje.

Ale zdobycie podpisu to był dopiero pierwszy krok.

Trzeba było zabezpieczyć się przed ewentualnymi kontrolami. Jedyną możliwością było uwikłanie w całą sprawę urzędnika Niemca, który byłby władny kontroli zapobiec. Okazja taka wkrótce się nadarzyła. Zastępca dr Krekera mający prawo podpisu, niejaki Jochimsen, zwierzył mi się kiedyś w przystępie szczerości, że swoich kłopotów finansowych. Zaproponowałam mu pomoc: wystarczy, że podpisze przydział na jakąś martwą duszę, a ja mu towar za pośrednictwem firmy "upłynnię" i pieniądze, przy zachowaniu pełnej dyskrecji, dostarczę. Zgodził się chętnie, następnego dnia dostał ode mnie potrzebną mu sumę, a ja trzymałam go już w ręku. Transakcje takie powtarzały się potem dość często. Kiedyś przyszła do Wydziału W. i R. kontrola, Pan J. zatelefonował do mnie zdenerwowanym głosem: "Fräulein Mia, eine Kontrolle". A ja odpowiedziałam na to z całym spokojem: "Mam nadzieję, że pan do niej nie dopuści". Z następcami Jochimsena, panami Krügerem i Freierem, stosunki ułożyły się podobnie, tyle tylko, że to już ja prowokowałam pierwszą rozmowę, starając się pokierować nią tak, żeby zaczęli skarżyć się na ciężkie czasy i kłopoty finansowe. Dalszy ciąg przebiegał analogicznie. I tak oto sami Niemcy patronowali mimo woli naszej akcji.

4/1/7

Największe niebezpieczeństwo groziło jednak ze strony Krakowa. Przydziały dla "dawnej klienteli prowincjonalnej" opiewały w naszych kwitariuszach na skromną ilość 2,5 ton, a w sprawozdaniach wysyłanych co miesiąc do urzędu Generalnego Gubernatora w Krakowie trzeba było umieszczać prawdziwe liczby, zgodne ze stanem magazynów fabrycznych. Chociaż starałam się pisać wysyłane do Krakowa wykazy jak najgęściej i jak najmniej przejrzyście, aby zniechęcić do dokładnego ich studiowania, wiedziałam, że ten duży, comiesięczny przydział na dość enigmatyczny cel zwróci w końcu uwagę władz krakowskich. Tak się rzeczywiście stało, ale dopiero po ~~wzrostach~~ przeszło dwóch latach naszej działalności. Do Warszawy przyjechał specjalnie w tej sprawie szef "Süsswarenwirtschaft" w Wydziale Głównym Wyżywienia i Rolnictwa Rządu GG, niejaki Alversmann. Na szczęście byliśmy dobrze przygotowani. "Biały", który pełnił funkcje woźnego, był uprzedzony, że w razie wizyty przedstawiciela GG musi go poinformować, że Krekera nie ma w biurze i przyprowadzić go do mnie. Alversmann powiedział mi, że przyjechał w celu wyjaśnienia ~~wzrostów~~ sprawy absurdalnych przydziałów na wolny rynek. Odpowiedziałam, że się w tym nie orientuję, ponieważ wypisuję przydziały zgodnie z dyspozycjami dr Krekera. Poirytowany A. zapowiedział drugi przyjazd i rzeczywiście po paru dniach zjawił się znowu. Tym razem szczęście nam sprzyjało, bo Krekera istotnie nie było. Alversmann wpadł w furję. Krzyczał, że przyjeżdża na próżno aż z Krakowa, że da Warszawie nauczkę, przy czym nie szczędził obelg pod adresem mojego zwierzchnika. Po nieprzespanej ze zdenerwowania nocy, w rezultacie rozmyślań jaki znaleźć ratunek w tej groźnej sytuacji, zameldowałam rano Krekerowi o bytności Alversmanna i, nie mówiąc o co mu chodziło, przytoczyłam z udanym oburzeniem obelżywe słowa skierowane pod adresem naszego szefa. Dr Kreker dosłownie się wściekł. Postępowanie przedstawiciela Krakowa uznał za obrazę niemieckiego munduru. Za moją namową wysłał do samego

sekretarza stanu Bühlera, zastępcy Franka, skargę, którą ja zresztą zredagowałam. Intryga zaowocowała w sposób wręcz nieoczekiwany. Dr Kreker dostał list z przeprosinami, a Alversmanna zdjęto ze stanowiska. Na jego miejsce przyszedł człowiek łagodny jak baranek. Rozmawiał ze mną (do spotkania z Krekerem oczywiście nie dopuściliśmy) bardzo uprzejmie. Poradziłam mu żeby, wobec trudności z osobistym skontaktowaniem się z dr Krekerem, zwrócił się do niego listownie z prośbą o wyjaśnienie sprawy.

Nie zapomnę zdumionych oczu Krekera trzymającego w ręku pismo z Krakowa, kiedy wezwał mnie żeby mi je pokazać. "Przecież ja niczego takiego nie podpisuję" - powiedział. Wytłumaczyłam mu, że owszem, podpisuje, ponieważ ja przygotowuję przydziały według zaakceptowanego przez niego rozdzielnika p. Meyera. Starałam się sprawę zbagatelizować i powiedziałam, że zaraz przygotuję odpowiedź do Krakowa. Urząd GG poinformowałam, że zakwestionowane przez niego przydziały zostają wstrzymane i tak sprawa ucichła. Z naszej akcji trzeba było oczywiście zrezygnować, ale i tak przez przeszło dwa lata przedostało się na warszawski rynek wiele tysięcy kilogramów słodyczy, a firmy zdołały stworzyć sobie pewne rezerwy.

Mówiąc o okresie okupacji nie można pominąć doniosłej roli warszawskiego przemysłu spożywczego i hurtowni aprowizacyjnych, zachowujących na każdym kroku obywatelską i patriotyczną postawę. Firmy te przejawiały troskę nie tylko o własnych pracowników (stałe dofinansowywanie w formie deputatów w naturze i gotówce, organizowanie stołówek - co w tamtych czasach stanowiło nowość - zakupywanie lekarstw, finansowanie leczenia itp.), lecz prowadziły również akcje społeczne zakrojone na szeroką skalę. Z handlu słodyczami i sacharyną żyło wielu warszawiaków. Rejonowe hurtownie aprowizacyjne, np. firma Szumilin, sprzedawały po cenach kontyngentowych dodatkowe ilości towarów, uzyskane głównie w wyniku umiejętnej gospodarowania tzw. rozkurzem i mankiem. Na liście osób korzystających z pomocy

4113

firm figurowały tak znane nazwiska, jak Ludwik Solski, Stefan Jaracz, Adolf Nowaczyński, Ludomir Różycki, Olgierd Straszynski i wiele, wiele innych. Działalność wszystkich firm obejmowała fikcyjne zatrudnianie osób, gdyż legitymowanie się dokumentami zakładów określanych jako "lebenswichtiger Betrieb" chroniło w dużej mierze przed represjami ze strony okupanta. Na liście pracowników firmy Pluton figurował m.in. Henryk Kołodziejcki (późniejszy członek Rady Państwa) i Tadeusz Breza.

Dysponowanie atrakcyjnymi towarami umożliwiało firmom skuteczne interwencje u władz niemieckich w sprawie zwalniania aresztowanych. O działalności f. Wedel na tym odcinku pisze Hanna Krall (Polityka nr 18/1978). Dzięki popartej odpowiednimi darami interwencji f. Pluton uwolniony został m.in. z Oświęcimia Eryk Lipiński, o czym pisze on w swoich wspomnieniach (Stolica nr 12/13, 1970). Na szczególne podkreślenie zasługuje zorganizowanie z inicjatywy tej firmy internatu dla około 50 dzieci z Zamojszczyzny. Na wyposażenie schroniska i jego utrzymanie składały się oprócz "Plutona" firmy "Lawina", Szumilin i Barcikowski.

Wszystkie firmy, z którymi współpracowałam, prowadziły regularną wysyłkę paczek do Oflagów. Szczególnie aktywna była w tej dziedzinie firma Michał Wiśniowski.

Wspominałam tu o działalności firm, z którymi mój referat miał bezpośrednio do czynienia, nie ulega jednak wątpliwości, że podobne akcje prowadziło wiele innych warszawskich firm z innych branż. Warszawski przemysł spożywczy i kupiectwo w pełni zasługują na to żeby poświęcić oddzielne wspomnienie ich okupacyjnej działalności.

Jeśli chodzi o działalność prowadzonego przeze mnie referatu, to stawała się ona również coraz bardziej dynamiczna. Od połowy 1940 r. aż do 1 sierpnia 1944 r. trwała regularna współpraca z różnymi instytucjami opieki społecznej, a więc z Miejskim Wydziałem Opieki Społecznej, z Wydziałem Opieki nad Dzieckiem RGO (kierownik

7/11/10

p. Romuald Kalaagiewicz, następca dr Chronecki), z Zarządem Głównym RGO oraz, w latach 1940-42, z Miejskim Wydziałem Szpitalnictwa. Pozycje te wynosiły miesięcznie ok. 7 ton słodocy, a potem - po rozszerzeniu działalności naszego referatu również na sacharynę - także 150 kg sacharyny.

Przydziały indywidualne otrzymywały też liczne zakłady wychowawcze, dobroczynne i spółdzielnie pracownicze (Spółdzielnia Nauczycieli Ludowych "Zaranie", przyklasztorne zakłady wychowawcze, sierociniec RGO w Górze Kalwarii).

Z bezpośredniej pomocy mojego referatu, zorganizowanej wspólnie z wytwórcami słodocy, korzystało ponadto prawie przez cały czas okupacji ok. 40 rodzin. Na podkreślenie zasługuje tutaj ofiarna współpraca firmy Fuchs (dyr. Szranc, p. Maria Jakubowska), na ul. Topiel, która - uważając tę formę współpracy za bezpieczniejszą - sama załatwiała sprzedaż przewidzianych na ten cel słodocy i wręczała koperty z ekwiwalentem pieniężnym figurującym na mojej liście patentom.

Referat sprawował stałą opiekę nad Prewentorium PCK dla dzieci ofiar wojny na Wierzbnie, ul. Idzikowskiego. Regularne przydziały żywności lub cennych artykułów wymiennych umożliwiały kierownictwu Prewentorium stałe dożywianie dzieci. Do najmiłszych okupacyjnych wspomnień zaliczam współpracę z dr Heleną Bilińską, nieustrudzoną kierowniczką Prewentorium.

Na początku 1944 r. udało się 50 wychowanków Zakładu ubrać od stóp do głów i zgromadzić dostateczne zapasy żywności na przyszłą zimę. Niestety tylko niewiele miesięcy dzieliło nas już wówczas od wydarzeń sierpniowych. Sprawę tę muszę omówić jednak oddzielnie.

Otóż, w pierwszych miesiącach tego roku, wobec nasilających się napadów i kradzieży w hurtowniach aprowizacyjnych, mój ówczes-

I/1/11

ny zwierzchnik, dr Zahn, wezwał mnie i po dłuższej rozmowie oświadczył, że wszystkie znajdujące się w Warszawie zapasy kawy i herbaty należy przewieźć do mieszczącej się na Pradze intendencji wojсковей. W związku z tym otrzymałam polecenie sporządzenia ostatecznego wykazu posiadanych przez firmy zapasów. Zatelefonowałam do wszystkich firm komunikując im o powyższej decyzji i prosząc o ostateczne zgłaszanie "ususów". Jedną z firm, z którą miałam zresztą najluźniejsze kontakty, Dezydery Sączewski, nie miała telefonu, napisałam więc do niej z prośbą o natychmiastowe skontaktowanie się ze mną. Firma ta miała na składzie duże ilości paczkowanej, wysokogatunkowej herbaty, co oczywiście uwidocznione było w naszych kartotekach. Niestety, właściciel firmy nie zgłosił się w wyznaczonym terminie, a ja, ponaglana przez mojego szefa musiałam dostarczyć mu żądane zestawienie. Przyjrzał mu się uważnie i schował je do szuflady. Po upływie paru dni zgłosił się właściciel firmy i oznajmił, że nie ma żadnych zapasów, gdyż wszystko sprzedał, ale "musiał przecież z czegoś żyć". Wartość sprzedanej herbaty była na ówczesne stosunki bardzo duża. Stałam wobec ciężkiego problemu: jeśli ujawnię sprzedaż, właścicielowi firmy grozi więzienie, a usunięcie tak dużej ilości herbaty z ewidencji było bardzo trudne i ryzykowne, wobec sporządzenia ostatecznego zestawienia i dostarczenia go mojemu zwierzchnikowi. Po przeprowadzeniu u mnie w domu dość dramatycznej rozmowy z p.Sączewskim powiedziałam, że postaram się jakoś sprawę załatwić, w zamian muszę jednak dostać określoną sumę pieniędzy na moje dzieci z Wierzbna. Chociaż trudno mi było winić właściciela firmy, gdyż zapewne nie zdawał sobie sprawy z grożących konsekwencji, uważałam, że mam prawo stawiać warunki. Chodziło mi o to, by z prywatnych zysków zdobytych w dodatku kosztem zagrożenia mojej osoby, wyegzekwować pewną sumę na cel społeczny.

Przede wszystkim trzeba było firmę wyeliminować z kartotek, a

I/1/12

następnie wykraść z biurka naszego szefa pierwsze zestawienie i zastąpić je innym. Trzeba było też zmobilizować się wewnętrznie na niełatwą rozmowę z szefem.

Wraz z koleżanką Olgą Arct przeprowadziłyśmy misterną korektę kartotek, co zajęło nam wiele godzin. Wykradzenia zestawienia podjął się nieoceniony Józef Musiał, a ja spreparowałam pozornie identyczne nowe zestawienie, na którym ilość herbaty była zmniejszona prawie o jedną trzecią. Józef włożył zestawienie do szuflady na dawne miejsce, a ja z biciem serca czekałam, co nastąpi.

Rozmowa z dr Zahnem, człowiekiem bystrym i inteligentnym, była trudna, gdyż, niestety, zapamiętał on poprzednie podaną ilość i indagował mnie bezlitośnie. Zwyciężyłam jakoś odwołując się do zapisów w kartotece, a on, na szczęście, zapomniał marki herbaty, o którą chodziło. W końcu powiedział: "Widocznie zwariowałem", czemu ja nie zaprzeczyłam. Przeczucie było emocjonujące, ale miałam nagrodę w postaci pieniędzy dla "moich dzieci". Trudno opisać radość p. Bilińskiej. Najzabawniejsze było to, że dzieciom z Prewentorium uszyto ubranka i płaszczyki z przefarbowanych mundurów niemieckich zdobytych z magazynów wehrmachtu "czarodziejскими sposobami".

Nie wiem, co się stało z dziećmi z Wierzbna, od których otrzymywałam na każde święta i imieniny uroczyste wierszyki. Kiedy po wyzwoleniu wróciłam w styczniu 1945 do Warszawy, dotarła do mnie pisana na prędce ręką pani Bilińskiej, wydarta z notesu karteczka. Zawierała ona m.in. słowa dotyczące powstania: "... Cudownie Bóg nami się opiekował, a ten co nie wierzy w cuda, powinien być przez tych 8 tygodni na Wierzbnie (...)"

IV/13

W Urzędzie Wyżywienia i Rolnictwa pracowałam do dnia 1 sierpnia 1944, do godz. 16⁵⁰. Byłam świadkiem gorączkowego przygotowania Niemców do obrony przed ewentualnym natarciem "bandytów". W suterenie budynku zgromadzono ogromne zapasy żywności. Leżały tam stoły wedlin; w ścianach wybito podłużne otwory strzelnicze. W pokojach biurowych pakowano w skrzynie wszystkie dokumenty, ponieważ cały urząd miał być ewakuowany do Sochaczewa. Ja wkładałam do skrzyń dokumenty naszego referatu, niszcząc na wszelki wypadek to i owo. Przynaglała przez jednego z kolegów, który przypominał co chwila: "O godzinie piątej zaczynamy!", wybiegłam z biura o 16³⁰. Na Poznańską 3, gdzie czasowo mieszkaliśmy, dotarłam punktualnie o 17⁰⁰. W tym samym momencie usłyszałam dochodzące z ulicy odgłosy strzelców.

Postscriptum

Według przybliżonych obliczeń, które sporządziłam dla siebie zaraz po wojnie (a których, niestety, nie mogę teraz odnaleźć), wartość towarów - sodycyzy, sacharyny, kawy, herbaty, kakao - odebranych Niemcom i oddanych z powrotem polskiej ludności za pośrednictwem referatu "Süsswaren", wyniosła, licząc po rynkowych cenach okupacyjnych, ok. 50 mln. złotych.

Original powyższej relacji otrzymany od Mani Korollińskiej
w moim posiadaniu.
Dla Fundacji AK w Toruniu przekazała Ewa Krasnowolska.
16.V. 2004

Biogram p. Mani Korollińskiej, zmarłej w Warszawie,
postaram się odtworzyć.
w. ok. 1915 r. E. Krasnowolska

IV/14
30

PRZYCZYNEK DO HISTORII LAT OKUPACYJNYCH W WARSZAWIE

Wspomnienia Marii Korolkiewicz, zatrudnionej w czasie okupacji w referacie "Süsswaren" Wydziału Wyżywienia i Rolnictwa Dystryktu Warszawskiego.

W listopadzie 1939 zwrócił się do mnie mój znajomy, p. Stanisław Kijeński, ówczesny kierownik Wydziału Personalnego Izby Przemysłowo-Handlowej w Warszawie, w następującej sprawie. Na terenie Izby, która przeszła właśnie pod zarząd niemiecki, zostało utworzone biuro pod nazwą "Der Beauftragte für Kaffee, Tee und Kakao". Miało ono zawiadywać wszystkimi skonfiskowanymi w Warszawie zapasami kawy, herbaty i kakao. (W oficjalnej niemieckiej nomenklaturze zapasy te zostały "sichergestellt" - zabezpieczone - i pozostawały w magazynach firm). Biuro poszukiwało pracownika z dobrym niemieckim i zwróciło się o pomoc do p. Kijeńskiego, który, wiedząc że odpowiadam stawianym wymaganiom, zaproponował mi objęcie tej posady. Poinformował mnie on że w Warszawie wpadły w ręce niemieckie ogromne ilości powyższych artykułów i chodzi o to, żeby jak najwięcej trafiło ich z powrotem w ręce polskie, trzeba więc mieć w nowo powstałym biurze zadowolonego człowieka, który podjąłby się tego rodzaju roboty. Zgłosiłem się, zostałem przyjęty i w ten sposób rozpoczęła się moja trwająca do dnia powstania praca "u Niemców".

Moim szefem był niejaki Paul Kraas, reichsdeutsch, mówiący świetnie po polsku, który przed wojną przez wiele lat pracował w Warszawie jako prokurent znanego domu handlowego Alfred Jurzykowski. Był to przede wszystkim człowiek interesu, traktujący swoje stanowisko jako znakomitą okazję do zrobienia majątku. Sprawami politycznymi raczej się nie interesował. Chętnie podpisywał podsuwane mu dyspozycje na niewielkie przydziały dla polskich instytucji, takich jak szpitale czy domy opieki, i nie kontrolował kartotek, w których, wraz z kolegą Polakiem, gorliwie spisywaliśmy zgłaszane nam przez poszczególne

firmy "ususz" (manka spowodowane wysychaniem kawy i herbaty).

Wszystko to było jednak bez większego znaczenia i już zaczęłam tracić nadzieję, że się w ogóle na coś przydam, gdy nagle sprawy przybrały nieoczekiwany obrót. Na początku 1940 r. poszerzono znacznie zakres działalności naszego biura, podporządkowując mu sześć koncesjonowanych na terenie dystryktu warszawskiego fabryk słodocy (Wedel, Fuchs, Domański, Wiśniowski, "Lawina" i Ciecierzyski). Wkrótce potem zaarrestowano mojego szefa za jakieś nadużycia. Zostałam sama, gdyż mojego kolegę tymczasem zwolniono. Któregoś dnia przyszło do mnie dwóch umundurowanych wyższych urzędnik^{ów} dystryktu i oznajmiło mi, że biuro zostaje przeniesione do Pałacu Brühla, gdzie mieścił się urząd gubernatora Fischera.

Przekroczenie tych nienawistnych progów w charakterze pracownika było dla mnie ciężkim osobistym przeżyciem.

Kraas niedługo przebywał w więzieniu. Wrócił na poprzednio zajmowane stanowisko butny i pewny siebie. Zaangażował nową pracownicę, pannę Żak, poznaniankę, przy czym każdej z nas powiedział o tej drugiej, że jest volksdeutsocką. Patrzyłyśmy na siebie początkowo nieufnie i upłynęło dość dużo czasu, zanim się "dogadałyśmy".

Wśród licznych pracujących w dystrykcie Polaków wyróżniał się woźny, Józef Musiał, także poznańczyk. Zawsze uśmiechnięty, łyczliwy dla otoczenia i usłużny cieszył się powszechną sympatią. Do mnie odnosił się z jakimś szczególnym zaufaniem. Moja współpraca z nim, która trwała do dnia powstania, zaczęła się w dość dramatycznych okolicznościach. Do obowiązków Józefa, żołnierza ZWZ a potem AK, pseudonim "Biały", należało m.in. dostarczanie poczty z kancelarii ogólnej do gabinetu Fischera. Któregoś dnia swierschnik Józefa, Niemiec, którego uwagę zwróciło to, że zanoszona przez Musiała poczta dociera do gabinetu gubernatora z dużym opóźnieniem, wezwał go

do swego pokoju na zasadniczą, pełną pogrótek rozmowę. Zobaczyłam go chwilę potem bardzo zdenerwowanego. Był do tego stopnia zbulwersowany, że wyznał mi, iż całą przychodzącą codziennie pocztę, przed doręczeniem jej w sekretariacie Fischera, zanosi do jednej z piwnic Pałacu Brühla, gdzie sporsądza się jej fotokopie. Pracę tę wykonywał miejscowy elektryk, Żyd, którego nazwiska niestety już nie pamiętam. Ustaliliśmy z Józefem, że w przyszłości będzie przynosił ^{pocztę/} najpierw do mnie i wspólnie dokonamy "na oko" selekcji listów, nie wszystkie bowiem zasługiwały na fotografowanie. Nabyta w ciągu paru miesięcy pracy rutyna pozwalała mi odróżnić na pierwszy rzut oka listy ważniejsze od mniej ważnych. Liczba fotografowanych listów spadła w ten sposób do 2-3 dziennie i związana z tym zwłoka nie wzbudzała podejrzeń. Z reguły fotografowało się listy pochodzące od rządu GG w Krakowie. Z chwilą utworzenia getta elektryk z Pałacu Brühla zniknął, lecz swoją działalność na tym odcinku "Biały" prowadził nadal.

Biuro Pełnomocnika do spraw Kawy, Herbaty i Kakao przemianowano na referat "Süsswaren", działający w ramach Wydziału Wyżywienia i Rolnictwa (Abteilung Ernährung und Landwirtschaft). Współpraca z fabryką mi słodocy stwarzała duże możliwości niesienia pomocy głodującej ludności Warszawy, dopóki jednak kierownikiem referatu był Kraas, nie można było wiele zdziałać. Na szczęście Kraasa zwolniono z pracy, a cały Wydział Wyżywienia i Rolnictwa przeniesiono w roku 1940 na ulicę Kopernika 30, a z czasem na Filtrową róg Suchej. Chodziło o to, żeby nie dopuścić do powierzenia kierownictwa referatu Niemcowi, tylko żebyśmy gospodarowały w nim same. Dwukrotnie usiłowano stanowisko to obsadzić, udało mi się jednak wykazać niekompetencję potencjalnych kandydatów i tak ich ośmieszyć wobec władz zwierzchnich, że zaniechano dalszych prób w tym kierunku.

Praca na ul. Kopernika i Filtrowej umożliwiła nam bliższy kontakt ze społeczeństwem, od którego nie oddzielały nas już groźne ma-

IV/14

ry Pałacu Brühla.

Zarówno do naszego urzędu jak i do poszczególnych firm - hurtowni kawy i herbaty oraz wytwórni słodyczy - zgłaszało się coraz więcej ludzi potrzebujących pomocy. Byli wśród nich przedstawiciele sztuki i nauki, rezerwistki z dziećmi, rodziny osób przebywających w niemieckich więzieniach i obozach karnych, ludzie, którzy w skutek sytuacji wojennej nie mogli zarobkować lub których zarobki były nieproporcjonalne do kosztów utrzymania. Takie hurtownie jak Pluton, Skumilin, Kopernik i inne zostały zakwalifikowane jako rejonowe hurtownie aprowizacyjne, co stworzyło im możliwość do różnorodnej działalności handlowej legalnej i, oczywiście, nielegalnej. Koncesjonowane fabryki słodyczy starały się w miarę możliwości zaspokajać potrzeby patentów utrzymujących się z handlu słodyczami, ale niewielkie wygospodarowane przez nie rezerwy okazywały się nie wystarczające. Prężna ludność Warszawy (dla której oficjalnie przydziały żywności na kartki wynosiły ok. 600 kalorii dziennie) radziła sobie jak mogła, kwitła szmugiel, pokątny handel, a mimo to skleroci potrzebujących wciąż rosła. Trzeba było znaleźć jakiś porządnie legalny sposób zdobycia większych zapasów, którymi można byłoby swobodnie gospodarować.

Tak zwane "ususze" wykalegowane z kartotek hurtowni kawowo-herbacianych osiągały niekiedy absurdalną wysokość i trzeba było uważać, żeby nie przeciągnąć struny. Kilkakrotnie fingowano kradzieże i odciążano konta firm tylko na podstawie "łowego" zaświadczenia granatowej policji, które udawało się jakoś firmom zdobyć.

Jeśli idzie o fabryki słodyczy, to trzeba było stworzyć im możliwość swobodniejszego dysponowania wyprodukowanymi towarami. Udało mi się wyjednać u mojego ówczesnego zwierzchnika, nazwiskiem Mayer, zgodę na dostarczenie niewielkich ilości cukierków na prowincję do podwarszawskich sklepików. Nazwałam to "Belieferung der alten Provinzkanzelschaft". Była to oczywiście całkowita fikcja.

Przedstawiając swoje racje użyłam argumentów mających niewiele wspólnego ze zdrowym rozsądkiem, cel został jednak osiągnięty. Fabryki miały otrzymywać z tytułu dostaw dla "dawnej klienteli prowincjonalnej" zezwolenia na sprzedaż 2.500 kg miesięcznie. Kwity przydziałowe były sporządzane w 4 egzemplarzach. Po podpisaniu ich przez szefa, na dwóch pierwszych egzemplarzach, które szły do firm, dopisywałam "0", czyli że suma każdego przydziału zwiększała się dziesięciokrotnie, a więc np. Wedel zamiast 1.250 kg dostawał miesięcznie 12500 kg (12,5 t). W ten sposób na wolny rynek trafiało co miesiąc 25 ton cukierków, ilość jak na wojenne stosunki warszawskie niebagatelna. Umożliwiło to firmom znaczne rozszerzenie zakresu udzielanej pomocy, a ja też z większą śmiałością mogłam je prosić o pomoc dla swoich podopiecznych - osób prywatnych i instytucji

Był to regularny, dość poważny sabotaż, ryzykowny przez swój prymitywizm, gdyż firmy otrzymywały zezwolenia na sprzedaż powiększonych dziesięciokrotnie ilości słodyczy, a w blokach, które pozostawały w naszym biurze figurowały liczby oryginalne. Przy każdej kontroli, które przeprowadzano co jakiś czas we wszystkich referatach, rzecz taka musiałaby wyjść na jaw. Trzeba więc było opracować precyzyjny system, który ochroniłby tę całą, szytą tak grubymi niemi działalność.

Najpierw trzeba było uzyskać podpis szefa na kwicie przydziałowym (Zuweisungsschein). Była to czynność powtarzająca się co miesiąc, należało ją więc jak najbardziej zmechanizować, żeby podpisujący nie miał czasu zastanawiać się nad treścią podpisywanych papierków. Każdy kwit wypisywałam w 4 egzemplarzach przez kalkę. Rubrykę "ilość kg słownie" na razie opuszczałam i wypełniałam ją odpowiednio dopiero po uzyskaniu podpisu. Podpisywanie odbywało się błyskawicznie. Blok z wypisanymi przydziałami przynosiłam memu szefowi trzymając w ręku arkusik wypolerowanej blachy. Był to mój po-

4/1/19

mysł racjonalizatorski. Szybko przewracałam pospinaane czterokartkowe komplety, podkładając pod każdy komplet blachę, a mój szef podpisywał zadowolony, że to tak sprawnie idzie. Kiedy szef się zmienił i na miejsce dobrodusznego Meyera przyszedł bardzo niesympatyczny dr Kreker, przyniosłam mu do podpisu przygotowane w ten sam sposób bloki wyjaśniając, że wypisałam przydziały ściśle według rozdzielnika opracowanego przez p. Meyera, więc chyba nie ma żadnych zastrzeżeń. Zadowolił się tym wyjaśnieniem i od tej pory wszystko podpisywał zachwycony dobrą organizacją, nie wnikając w to, co podpisuje.

Ale zdobyć podpisu to był dopiero pierwszy krok.

Trzeba było zabezpieczyć się przed ewentualnymi kontrolami. Jedyną możliwością było uwikłanie w całą sprawę urzędnika Niemca, który byłby władny kontroli zapobiec. Okazja taka wkrótce się nadarzyła. Zastępca dr Krekera mający prawo podpisu, niejaki Joehimsen, zwierzył mi się kiedyś w przystępie szczerości, że swoich kłopotów finansowych. Zaproponowałam mu pomoc: wystarczy, że podpisze przydział na jakąś martwą duszę, a ja mu towar za pośrednictwem firmy "upłynię" i pieniądze, przy zachowaniu pełnej dyskrecji, dostarczę. Zgodził się chętnie, następnego dnia dostał ode mnie potrzebną mu sumę, a ja trzymałam go już w ręku. Transakcje takie powtarzały się potem dość często. Kiedyś przyszła do Wydziału W. i R. kontrola. Pan J. zatelefonował do mnie zdenerwowanym głosem: "Fräulein Mia, eine Kontrolle". A ja odpowiedziałam na to z całym spokojem: "Mam nadzieję, że pan do niej nie dopuści". Z następcami Joehimsena, panami Krügerem i Freierem, stosunki ukłóżyły się podobnie, tyle tylko, że to już ja prowokowałam pierwszą rozmowę, starając się pokierować nią tak, żeby zaczęli skarżyć się na ciężkie czasy i kłopoty finansowe. Dalszy ciąg przebiegał analogicznie. I tak oto sami Niemcy patronowali mimo woli naszej akcji?

Największe niebezpieczeństwo groziło jednak ze strony Krakowa. Przychodziły dla "dawnej klienteli prowincjonalnej" opiewały w naszych kwitariuszach na skromną ilość 2,5 ton, a w sprawozdaniach wysyłanych co miesiąc do urzędu Generalnego Gubernatora w Krakowie trzeba było umieszczać prawdziwe liczby, zgodne ze stanem magazynów fabrycznych. Chociaż starałam się pisać wysyłane do Krakowa wykazy jak najgęściej i jak najmniej przejrzysto, aby zniechęcić do dokładnego ich studiowania, wiedziałam, że ten duży, comiesięczny przydział na dość enigmatyczny cel zwróci w końcu uwagę władz krakowskich. Tak się rzeczywiście stało, ale dopiero po upływie przeszło dwóch lat naszej działalności. Do Warszawy przyjechał specjalnie w tej sprawie szef "Süsswarenwirtschaft" w Wydziale Głównym Wyżywienia i Rolnictwa Rządu GG niejaki Alversmann. Na szczęście byliśmy dobrze przygotowani. "Biały", który pełnił funkcje woźnego, był uprzedzony, że w razie wizyty przedstawiciela GG musi go poinformować, że Krekera nie ma w biurze i przyprowadzić go do mnie. Alversmann powiedział mi, że przyjechał w celu wyjaśnienia sprawy absurdalnych przydziałów na wolny rynek. Odpowiedziałam, że się w tym nie orientuję, ponieważ wypisuję przydziały zgodnie z dyspozycjami dr Krekera. Poirytowany A. zapowiedział drugi przyjazd i rzeczywiście po paru dniach zjawił się znów. Tym razem szczęście nam sprzyjało, bo Krekera istotnie nie było. Alversmann wpadł w furję, krzyczał, że przyjeżdża naprzódno aż z Krakowa, że da Warszawie nauczkę, przy czym nie szczędził obelg pod adresem mojego zwierzchnika. Po nieprzespanej ze zdenerwowania nocy, w rezultacie rozmyślań, jaki znaleźć ratunek w tej groźnej sytuacji, zameldowałam rano Krekerowi o bytności Alversmanna i, nie mówiąc o co mu chodziło, przytoczyłam z udanym oburzeniem obelżywe słowa skierowane pod adresem naszego szefa. Dr Kreker dosłownie się wściekł. Postępowanie przedstawiciela Krakowa uznał za obrazę niemieckiego munduru. Za moją namową wysłał do samego

4/1/21

sekretarza stanu Bühlera, zastępcy Franka, skargę, którą ja zresztą zrehabilitowałam. Intrzyga zaowocowała w sposób wręcz nieoczekiwany. Dr Kreker dostał list a przeprosinami, a Alversmanna zdjęto ze stanowiska. Na jego miejsce przyszedł człowiek łagodny jak baranek. Rozmawiał ze mną (do spotkania z Krekerem oczywiście nie dopuściliśmy) bardzo uprzejmie. Poradziłam mu, żeby, wobec trudności z osobistym skontaktowaniem się z dr Krekerem, zwrócił się do niego listownie z prośbą o wyjaśnienie sprawy.

Nie zapomnę zdumionych oczu Krokera trzymającego w ręku pismo z Krakowa, kiedy wezwał mnie, żeby mi je pokazać. "Przecież ja niczego takiego nie podpisuję" - powiedział. Wytłumaczyłam mu, że owszem, podpisuje, ponieważ ja przygotowuję przydziały według zaakceptowanego przez niego rozdzielnika p. Meyera. Staralam się sprawę zbagatelizować i powiedziałam, że zaraz przygotowuję odpowiedź do Krakowa. Urząd Główny poinformowałam, że zakwestionowane przez niego przydziały zostają wstrzymane i tak sprawa ucichła. Z naszej akcji trzeba było oczywiście zrezygnować, ale i tak przez przeszło dwa lata przedostało się na warszawski rynek wiele tysięcy kilogramów słodyczy, a firmy zdołały stworzyć sobie pewne rezerwy.

Mówiąc o okresie okupacji nie można pominąć doniosłej roli warszawskiego przemysłu spożywczego i hurtowni aprowizacyjnych, zachowujących na każdym kroku obywatelską i patriotyczną postawę. Firmy te przejawiały troskę nie tylko o własnych pracowników (stałe dofinansowywanie w formie deputatów w naturze i gotówce, organizowanie stołówek - co w tamtych czasach stanowiło nowość - zakupywanie lekarstw, finansowanie leczenia itp.), lecz prowadziły również akcje społeczne zakrojone na szeroką skalę. Z handlu słodyczami i sacharyną żyło wielu warszawiaków. Rejonowe hurtownie aprowizacyjne, np. firma Szumilin, sprzedawały po cenach kontyngentowych dodatkowe ilości towarów, uzyskane głównie w wyniku umiejętnego gospodarowania tzw. rozkurzem i mankiem. Na liście osób korzystających z pomocy

7/1/22

firm figurowały tak same nazwiska, jak Ludwik Solski, Stefan Jarcz, Adolf Nowaczyński, Ludomir Różycki, Olgierd Straszynski i wiele, wiele innych. Działalność wszystkich firm obejmowała fikcyjne zatrudnianie osób, gdyż legitymowanie się dokumentami zakładów określanych jako "lebenswichtiger Betrieb" chroniło w dużej mierze przed represjami ze strony okupanta. Na liście pracowników firmy Pluton figurował m.in. Henryk Kołodziejcki (późniejszy członek Rady Państwa) i Tadeusz Breza.

Dysponowanie atrakcyjnymi towarami umożliwiało firmom skuteczne interwencje u władz niemieckich w sprawie zwalniania aresztowanych. O działalności f. Wedel na tym odcinku pisze Hanna Krall (Polityka nr 18/1978). Dzięki popartej odpowiednimi darami interwencji f. Pluton uwolniony został m.in. z Oświęcimia Erik Lipiński, o czym pisze on w swoich wspomnieniach (Stolica nr 12/13, 1970). Na szczególne podkreślenie zasługuje zorganizowanie z inicjatywy tej firmy internatu dla około 50 dzieci z Zamojszczyzny. Na wyposażenie schroniska i jego utrzymanie składały się oprócz "Plutona" firmy "Lawina", Szumilin i Barcikowski.

Wszystkie firmy, z którymi współpracowałam, prowadziły regularną wysyłkę paczek do Oflagów. Szczególnie aktywna była w tej dziedzinie firma Michał Wiśniowski.

Wspominałam tu o działalności firm, z którymi mój referat miał bezpośrednio do czynienia, nie ulega jednak wątpliwości, że podobne akcje prowadziło wiele innych warszawskich firm z innych branż. Warszawski przemysł spożywczy i kupiectwo w pełni zasługują na to żeby poświęcić oddzielne wspomnienie ich okupacyjnej działalności.

Jeśli chodzi o działalność prowadzonego przeze mnie referatu, to stawała się ona również coraz bardziej dynamiczna. Od połowy 1940 r. aż do 1 sierpnia 1944 r. trwała regularna współpraca z różnymi instytucjami opieki społecznej, a więc z Miejskim Wydziałem Opieki Społecznej, z Wydziałem Opieki nad Dzieckiem RGO (kierownik

p. Romuald Malangiewicz, zastępca dr Chruszki), z Zarządem Głównym RGO oraz, w latach 1940-42, z Niejakim Wydziałem Szpitalnictwa. Pozycje te wynosiły miesięcznie ok. 7 ton słodyczy, a potem - po rozszerzeniu działalności naszego referatu również na sacharynę - także 150 kg sacharyny.

Przydziały indywidualne otrzymywały też liczne zakłady wychowawcze, dobroczynne i spółdzielnie pracownicze (Spółdzielnia Nauczycieli Ludowych "Zaranie", przyklasztorne zakłady wychowawcze, sierociniec RGO w Górze Kalwarii).

Z bezpośredniej pomocy mojego referatu, zorganizowanej współpracy z wytwórcami słodyczy, korzystało ponadto prawie przez cały czas okupacji ok. 40 rodzin. Na podkreślenie zasługuje tutaj ofiarna współpraca firmy Fuchs (dyr. Surano, p. Maria Jakubowska) na ul. Topiel, która - uznając tę formę współpracy za bezpieczniejszą - sama załatwiała sprzedaż przewidzianych na ten cel słodyczy i wręczała koperty z ekwiwalentem pieniężnym figurującym na mojej liście patentów.

Referat sprawował stałą opiekę nad Prewentorium PCK dla dzieci ofiar wojny na Wierzbnie, ul. Idzikowskiego. Regularne przydziały żywności lub ceanych artykułów wymiennych umożliwiły kierownictwu Prewentorium stałe dożywianie dzieci. Do najmiłszych okupacyjnych wspomnień zaliczam współpracę z dr Heleną Bilińską, niestrudzoną kierowniczką Prewentorium.

Na początku 1944 r. udało się 50 wychowanków Zakładu ubrać od stóp do głów i zgromadzić dostateczne zapasy żywności na przyszłą zimę. Niestety tylko niewiele miesięcy dzieliło nas już wówczas od wydarzeń sierpniowych. Sprawę tę muszę omówić jednak oddzielnie.

Otóż, w pierwszych miesiącach tego roku, wobec nasilających się napadów i kradzieży w hurtowniach aprowizacyjnych, mój ówczes-

H/26

ny swierschniak, dr Zahm, wezwał mnie i po dłuższej rozmowie oświad-
czył, że wszystkie znajdujące się w Warszawie zapasy kawy i herba-
ty należy przewieźć do mieszczącej się na Pradze intendencji woj-
skowej. W związku z tym otrzymałam polecenie sporządzenia ostatecz-
nego wykazu posiadanych przez firmy zapasów. Zatelefonowałam do
wszystkich firm komunikując im o powyższej decyzji i prosząc o osta-
teczne zgłoszenie "ususzów". Jedną z firm, z którą miałam zresztą
najluźniejsze kontakty, Dedydery Sączewski, nie miała telefonu, na-
pisałam więc do niej z prośbą o natychmiastowe skontaktowanie się
ze mną. Firma ta miała na składzie duże ilości paczkowanej, wysoko-
gatunkowej herbaty, co oczywiście uwidoczniło się w naszych kar-
tetkach. Niestety, właściciel firmy nie zgłosił się w wyznaczonym
terminie, a ja, ponaglana przez mojego szefa musiałam dostarczyć mu
žadane zestawienie. Przejrzał mi się uważnie i schował je do szufla-
dy. Po upływie paru dni zgłosił się właściciel firmy i oznajmił,
że nie ma żadnych zapasów, gdyż wszystko sprzedał, ale "musiał prze-
cież z czegoś żyć". Wartość sprzedanej herbaty była na ówczesne sto-
sunki bardzo duża. Stałam wobec ciężkiego problemu: jeśli ujawnię
sprzedaż, właścicielowi firmy grozi więzienie, a usunięcie tak du-
żej ilości herbaty z ewidencji było bardzo trudne i ryzykowne, wobec
sporządzenia ostatecznego zestawienia i dostarczenia go mojemu
swierschniakowi. Po przeprowadzeniu u mnie w domu dość dramatycznej
rozmowy z p. Sączewskim powiedziałam, że postaram się jakoś sprawę
załatwić, w zamian muszę jednak dostać określoną sumę pieniędzy na
moje dzieci z Wierzbna. Chociaż trudne mi było winić właściciela
firmy, gdyż zapewne nie zdawał sobie sprawy z groźbą konsekwen-
cji, uważałam, że mam prawo stawiać warunki. Chodziło mi o to, by
z prywatnych zysków zdobytych w dodatku kosztem zagrożenia mojej
osoby, wyegzekwować pewną sumę na cel społeczny⁴¹

Przed wszystkim trzeba było firmę wyeliminować z kartetek, a

1/1/25

następnie wykraść z biurka naszego szefa pierwsze zestawienie i zastąpić je innym. Trzeba było też zmobilizować się wewnętrznie na niezłą rozmowę z szefem.

Wraz z koleżanką Olgą Arci przeprowadziłyśmy misterną korektę kartotek, co zajęło nam wiele godzin. Wykradzenia zestawienia podjął się nieoczekiwany Józef Masiak, a ja spreparowałam pozornie identyczne nowe zestawienie, na którym ilość herbaty była zmniejszona prawie o jedną trzecią. Józef włożył zestawienie do szuflady na dawne miejsce, a ja z biciem serca czekałam, co nastąpi.

Rozmowa z dr Zahnen, człowiekiem bystrym i inteligentnym, była trudna, gdyż, niestety, zapamiętał on poprzednie podaną ilość i indagował mnie bezlitośnie. Zwyciężyłam jakoś odwołując się do zapisów w kartotece, a on, na szczęście, zapomniał marki herbaty, o którą chodziło. W końcu powiedział: "Widocznie swarowałam", czemu ja nie zaprzeczyłam. Przetęcie było emocjonujące, ale miałam nagrodę w postaci pieniędzy dla "moich dzieci". Trudno opisać radość p. Bilińskiej. Najszabardziej było to, że dzieckom z Prewentorium uszyto szranki i płaszczyki z prsefarbowanych mundurów niemieckich zdobytych z magazynów wehrmachtu "czarodziejскими sposobami".

Nie wiem, co się stało z dziećmi z Wierzbna, od których otrzymywałam na każde święta i imieniny uroczyste wierszyki. Kiedy po wyzwoleniu wróciłam w styczniu 1945 do Warszawy, dotarła do mnie pisana na przód ręką pani Bilińskiej, wydarta z notemu karteczka. Zawierała ona m.in. słowa dotyczące powstania: "... Cudownie Bóg nami się opiekował, a ten co nie wierzy w cuda, powinien być przez tych 8 tygodni na Wierzbnie (...)"

7/1/28

W Wydziale Wyżywienia i Rolnictwa pracowałam do dnia 1 sierpnia 1944, do godz. 16³⁰. Byłam świadkiem gorączkowych przygotowań Niemców do obrony przed ewentualnym natarciem "bandytów". W suterenie budynku zgromadzono ogromne zapasy żywności. Leżały tam stopy wędlin; w ścianach wybito podłunne otwory strzelnicze. W pokojach biurowych pakowano w skrzynie wszystkie dokumenty, ponieważ cały urząd miał być ewakuowany do Sochaczewa. Ja wkładałam do skrzyń dokumenty naszego referatu, niszcząc na wszelki wypadek to i owo. Przynaglana przez jednego z kolegów, który przypominał o chwili: "O godzinie piątej zaczynamy!", wybiegłam z biura o 16³⁰. Na Posańską 3, gdzie czasowo mieszkaliśmy, dotarłam punktualnie o 17⁰⁰. W tym samym momencie usłyszałam dochodzące z ulicy odgłosy strzelców.

Maria Krawkiewicz

Postscriptum

Według przybliżonych obliczeń, które sporządziłam dla siebie zaraz po wojnie (a których, niestety, nie mogę teraz odnaleźć), wartość towarów - skłodyczy, sacharyny, kawy, herbaty, kakao - odebranych Niemcom i oddanych z powrotem polskiej ludności za pośrednictwem referatu "Süsswaren", wyniosła, licząc po rynkowych cenach okupacyjnych, ok. 50 mln. złotych.

Biogram p. Marii
postaram się odtworzyć.
Przekazalam dla Fundacji AK w Toruniu.
16.8.2000.
Elżbieta Krawkiewicz

KOROLKIEWICZ Maria

